

Wojciech Kalwat

**POWSTANIE STYCZNIOWE W REJONIE
BODZENTYNA**

Wydarzenia z lutego i kwietnia 1861 roku wpłynęły na zbudzenie z letargu prowincji Królestwa Polskiego. Ruch patriotyczny od razu przybrał charakter manifestacji narodowo-religijnych. Nie bez wpływu na ten stan rzeczy miał okólnik abp Antoniego Melchiora Fijałkowskiego, wzywający do przywdziania na czas nieograniczony żałoby i odprawienia mszy za poległych w Warszawie. Odprawione je nie tylko w kościołach katolickich, ale także świątyniach protestanckich i synagogach żydowskich.

Manifestacje

Na prowincji najżywiej zareagowało kaliskie i lubelskie, choć nie było brak wystąpień w innych częściach Kongresówki. W rejonie świętokrzyskim pierwszym znaczącym incydentem wpływającym na pobudzenie nastrojów patriotycznych była napaść w Kielcach w dniu 4 kwietnia 1861 roku rosyjskich żołnierzy na jadącego z sakramentem ks. Józefa Zajdlera. Napaść wywołała wielkie wzburzenie wśród mieszkańców miasta. Rosjanie nie przyznali się do winy i słusznie, ponieważ najprawdopodobniej cała sprawa była uknuta przez polską młodzież i nosiła cechy prowokacji, mającej na celu skompromitowanie zaborcy. Jeżeli tak było w istocie, to cel został w pełni zrealizowany. Zaczęły się uroczystości patriotyczne, które wskutek zakazu zebrań publicznych przeniosły się do kościołów. Zirytowany manifestacjami płk Paweł Zwiercow 14 lipca urządził przed kielecką katedrą koncert orkiestry wojskowej. Nic w tym nie byłoby dziwnego, gdyby nie fakt, że muzykowanie miało zagłuszyć trwającą właśnie mszę. Oburzeni ludzie głośnymi okrzykami dali wyraz swego niezadowolenia. W odpowiedzi Rosjanie rozpędzili kolbami karabinów tłum wiernych.

Niedługo potem ruszyła pielgrzymka z Kielc do Jędrzejowa aby wziąć udział w uroczystościach ku czci Wincentego Kadłubka. Po drodze nastąpiło zbratanie się kielczan z chęcińskimi Żydami, sam zaś Jędrzejów został ożywiony patriotycznym duchem, przejawiającym się patriotycznymi śpiewami i bojkotem towarzyskim osób związanych z władzami. Po „zbudzeniu” Jędrzejowa kielczanie przystąpili do sypania kopca, z okazji rocznicy unii polsko-litewskiej.

Największe znaczenie dla narodowego przebudzenia, miały uroczystości odpustowe z okazji Podwyższenia Krzyża Świętego w dniu 14 września 1861 r. na Świętym Krzyżu. Odpust został przygotowany przez patriotycznie nastawionych księży: Antoniego Chłudę z Bodzentyna, Jana Dąbrowskiego z Kunowa, Ignacego Zakrzewskiego z Opatowa i Kacpra

Kotkowskiego z Ćmielowa. Niepoślednią rolę w przygotowaniach odegrali również spiskowcy z Warszawy, na czele z Włodzimierzem Wolskim, autorem libretta do „Halki” Stanisława Moniuszki.

Mszę odprawiono przed kościołem, ponieważ świątynia nie mogła pomieścić trzydziestotysięcznego tłumu. Wśród zgromadzonych była grupa ok. 400 osobowa kompania z Warszawy, złożona z młodzieży szkolnej i rzemieślniczej, określona przed świadka tamtych wydarzeń Walerego Przyborowskiego jako *wyprawa rewolucyjna w celu przebudzenia i zrewolucjonizowania wsi i miasteczek*. Powitalną mowę na ich cześć wygłosił bodzentyński wikariusz ks. Izydor Ciągliński.

Nastrój był podniosły. Na wieży kościelnej powiewał olbrzymi sztandar z Orłem i Pogonią. Grała orkiestra, a nad lasem unosiły się patriotyczne śpiewy. Nabożeństwo odprawił bp sandomierski Józef Juszyński, a homilię wygłosił ks. Zakrzewski, która wedle pamiętnikarza Władysława Zapałowskiego *tak wielkie sprawiła wrażenie na słuchaczach, że lud mało powiedzieć płakał, płacz zamienił się w jeden ciągły jęk i ryk, a echo daleko rozniosło te jęki po lesie*. Jakież to słowa wywołały taki efekt? Ksiądz Zakrzewski zwracał się głównie do chłopów. Wzywał ich do sprzeciwiania się Moskalom i nie dawania im wiary, że szlachta nie chce oczynszowania chłopów i nie dąży do przywrócenia pańszczyzny po wyzwoleniu. Przeczył plotkom o zмовie księży i panów, którzy rzekomo chcą większego wyzysku chłopów. *Kiedy wiemy – mówił Zakrzewski- że w zgodzie, jedności jest jedyna ufność wyzwolenia naszego spod ciężkiego jarzma niewoli, więc łączmy się, kochajmy, wspomagajmy, przebaczajmy jedni drugim cośmy sobie zawinili wspólnie*. Jak się jednak okazało słowa solidarności społecznej wzruszyły tylko cześć słuchaczy. Ludność wiejska wezwana do złożenia przysięgi, że będą się bić za ojczyznę do ostatniej kropli krwi, w znacznej mierze uciekła do lasu.

Po tej uroczystości odbyła się narada ziemian i duchowieństwa, ale już bez bp Juszyńskiego, który przerażony rozmiarami ruchu, opuścił Św. Krzyż. Na naradzie rozmawiano o tworzeniu tajnych organizacji i pracy agitacyjnej, a zwłaszcza do nawoływania z ambon do nawoływania do zgody narodowej.

Patriotyczni wikariusze

Namiestnik Michał Gorczakow 25 maja 1861 roku pisał: *Ten piekielny kler katolicki doprowadzi mnie do pasji*. To stwierdzenie jest jak najbardziej zasadne. Oczywiście to nie kler był przyczyną ruchów niepodległościowych, on tylko był wyrazicielem nastawienia narodu z którym trzymał. Często jednak, zwłaszcza na prowincji to duchowni byli inicjatorami wystąpień patriotycznych. Tak właśnie było w Bodzentynie, małej mieścinie w samym sercu Gór Świętokrzyskich. Wielkie manifestacje w dużych miastach są powszechnie znane i opisane, warto więc przyrzeć się jak okres przedpowstańczy wyglądał w liczącym zaledwie ok. 1300 mieszkańców miasteczku.

W interesującym nas okresie w Bodzentynie działało 3 księży, wspomniany już proboszcz Chłuda i dwóch wikariuszy: Antoni Omiński i Izydor Ciągliński, który przez matkę spokrewniony był z Wincentym Migurskim, sportretowanym przez Lwa Tołstoja w opowiadaniu „Za co?”

Duchowni, a zwłaszcza wikariusze, na wieść o wydarzeniach warszawskich włączyli się w ogólnopolski ruch żałoby narodowej. Zbierali i kolportowali wiadomości i patriotyczne pieśni, przesyłane im przez „czerwonych” z Warszawy. W kościele wygłaszali rewolucyjne kazania, w których Moskali nazywali nieprzyjaciółmi, barbarzyńcami i zbrodniarzami. Szerzyli kult Tadeusza Kościuszki, odprawiając msze żałobne za jego duszę w rocznicę śmierci, a w kazaniu zwracali uwagę na to iż Naczelnik dowodził kosynierami z sandomierskiego. Zadbali również aby tutejszej ludności przedstawić w odpowiednich barwach zawilości międzynarodowej polityki, podłoże i przebieg manifestacji w odległej stolicy, oraz profanację warszawskich świątyń. Wskazywali nieprawości jakich dopuszczali się Rosjanie, którzy zniszczyli i obdarli Polskę podatkami, zakazali wszelkich oznak polskości, a nawet ubioru narodowego. Starali się ukazać wszelkie prześladowania i cierpienia Polaków. *Przebieżcie dzikie stopy choć myślą samą – pisał jeden z wikariuszy – zajrzyjcie w krainy śniegiem i lodem pokryte, zapuśćcie się choć duchem w głębokie kopalnie, a ujrzelibyście braci naszych obciążonych kajdanami (...). Matki polskie pozbierajcie kości z synów waszych na wybrzeżach Kaukazu poległych, dokąd ich ci barbarzyńcy na niechybną śmierć zapędzili.*

Odprawiano patriotyczne msze oraz wzniesiono, podobnie jak w wielu polskich miastach, krzyż *na pamiątkę poległych braci, którzy niewinnie od tyranów, morderców, wrogów naszych, na ulicach Warszawy zamordowani zostali*. Na krzyżu umieszczono napis

„Za poległych w 1861 r.”, który rok później zastąpiono innym „Za poległych 1861-1862”. Świątynię przystrojono barwami żałoby i symbolami narodowymi, takimi jak dwie chorągwie z wizerunkami Matki Boskiej i orłami w kolorach narodowych. Sprawiono również dwudziestojednokilogramowego żeliwnego orła w koronie, trzymającego w szponach krzyż – symbol wiary i cierniową koronę – symbol cierpienia. Orzeł noszony był na drewnianych drążkach jako feretron w czasie patriotycznych procesji. Później zaginął, by się odnaleźć dopiero w 1970 roku, podczas prac porządkowych wokół dzwonnicy.

Zaniepokojone rozmiarami ruchu w Królestwie, władze carskie wprowadziły stan wojenny. Nowy naczelnik wojenny okręgu radomskiego płk Ksawery Czengier, nakazał usunięcie emblematów narodowych ze sztandarów kościelnych, cechowych oraz zakazał wszelkich zgromadzeń pod krzyżami, figurami i procesji kościelnych. Burmistrzowie i wójtowie gmin zostali obarczeni obowiązkiem dopilnowania wypełniania poleceń władz. W Bodzentynie sztandary znikły, żałobę zdjęto z dużym opóźnieniem, zaś zdejmowane tablice, trzykrotnie zawieszają na pierwotnym miejscu niewidzialna ręka.

Z czasem jawne przejawy postaw patriotycznych, jak chociażby noszenie żałobnej odzieży czy krzyżyków stały się coraz bardziej utrudnione. Rozrastała się za to w szybkim tempie organizacja spiskowa „czerwonych”. W Bodzentynie objęła ona prócz duchownych, najbogatszych mieszczan; Stefana Bogdańskiego i Karola Zygadlewicza, urzędnika Szadkowskiego i Kazimierza Szermentowskiego (brat malarza Józefa Szermentowskiego). W swej robocie sprzysiężeni kontaktowali się z pewnością z innymi grupami, jak chociażby ze spiskowcami z Kielc i Suchedniowa.

Nocny atak

Plany wybuchu powstania zakładały opanowanie terenów województw sandomierskiego i krakowskiego, czyli tzw. Trójkąta granicznego, położonego między granicami Prus i Austrii, skąd spodziewano się napływu ochotników i pomocy. Opanowanie tego dogodnego do obrony terenu, mogłoby doprowadzić do powstania dogodnej bazy wojennej skąd mogłaby ruszyć ofensywa w głąb Królestwa. Nie bez znaczenia był fakt funkcjonowania tutaj ośrodków przemysłowych, mogących produkować przynajmniej broń białą, jak to miało miejsce podczas powstania listopadowego. Tymczasem 22 stycznia 1863 roku w województwie krakowskim nie dokonano żadnej akcji wojskowej, a w sandomierskim doszło zaledwie do trzech potyczek w Jedlni, Bodzentynie i Szydłowcu. Na uwagę zasługują

zwłaszcza atak na Bodzentyn, a to ze względu na dokładne relacje, pozwalające dosyć precyzyjnie odtworzyć te wydarzenia.

Rota smoleńskiego pułku piechoty została rozkwaterowana w Bodzentynie z zadaniami *stricte* policyjnymi. Miała zapewnić spokój i pomimo drobnych incydentów pomiędzy żołnierzami, a ludnością cywilną, spokojność została przywrócona. Co więcej, by uspić czujność carskich wojskowych, zapraszano ich na przyjacielskie poczęstunki, kończące się zazwyczaj tęgim pijaństwem. Tuż przed atakiem mieszkańcy bodzentyńscy wysłali list do Czengierego, w którym stwierdzali, że *dowódca kompanii, Krajewicz oraz oficerowie Rapp i Kozunow doprowadzili swój oddział do tak wzorowej karności, że mieszkańcy nie mogą znaleźć słów uznania dla zachowania się rozkwaterowanych u nich żołnierzy*. Oczywiście owe podziękowania miały tylko osłabić czujność przeciwnika. Również temu miały służyć cztery równocześnie wyprawiane wesela, które pod pozorem przyjazdu gości tłumaczyły niezwykle wzmożony ruch w mieście.

Dowódca garnizonu Krajewicz 22 stycznia 1863 roku był nieobecny w Bodzentynie, a oficerowie Rapp i Kozunow nie przejęli się całym zamieszaniem i z pasją, jak opisuje Mikołaj Berg, *siedzieli nad chemicznymi doświadczeniami, któremi Rapp się zajmował (...) zasadzały się one na zwykłym zajęciu oficerów, zapędzonych w takie zakątki, czyli, że grali w karty, przepijając czaj, przyrządzony według wszelkich przepisów chemicznych, jako mocny pącz. Któż im tego nie wybaczy? Wszak tak jest dyabło nudno w takich, czy to polskich, czy rosyjskich Bodzentyinach, każdemu mniej więcej cywilizowanemu człowiekowi*.

W ataku na bodzentyński garnizon wzięło udział około setki bodzentyńian pod wodzą kupca Stefana Bogdańskiego i ok. 400 spiskowców z nieodległego Suchedniowa, w którym działała pręźnie organizacja spiskowa. Robotnikami dowodzili bracia Ignac, Jan i Józef Dawidowicze, którzy jeszcze przed atakiem zdążyli opróżnić suchedniowską kasę górniczą, zabierając stamtąd 30 000 rubli.

Powstańcy uzbrojeni głównie z kosa, pokrzepieni błogosławieństwem tutejszych księży, około pierwszej w nocy na dźwięk kościelnej sygnaturki ruszyli do ataku. Zbudzeni ze snu rosyjscy żołnierze machinalnie rzucili się do odparcia napaści. Celny ogień powstrzymał powstańców. Ci jednak nie rezygnowali i próbowali podpalić jedną z żołnierskich kwater. Rosjanie jednak nie stracili zimnej krwi i odrzucili ułożoną wokół domu, a płonąca już słomę. Następnie wznieśli wielkie ognisko przy którym zgromadzili się rozproszeni żołnierze, którym blask ognia pozwalał celniej razić napastników.

Jedna z silniejszych grup powstańców zaatakowała kwatery oficerskie. Insurgenci po wdarciu się do środka próbowali nakłonić Rosjan do poddania. Pijani oficerowie zrazu uznali to za żart. Słysząc już jednak odgłosy walki, a luna biła nad miastem. Próbujący się zorientować w sytuacji Rapp otrzymał wówczas śmiertelny cios. Niektóre źródła twierdzą, że wymierzył go krewki ksiądz Umiński. Drugiego oficera, wykorzystując niezdecydowanie powstańców, odbili jednak rosyjscy żołnierze.

Mimo kolejnych prób, nieskładne ataki Polaków, załamywały się w ogniu rosyjskiej piechoty. Nad ranem zaś powstańcy wycofali się do lasu, pozostawiając plac boju przeciwnikowi. Straty rosyjskie, jak na tak nagły atak okazały się niewielkie. Zginęło 3 Rosjan, a 40 odniosło rany. Po stronie polskiej trudno ustalić poległych i ranionych, ale z pewnością były to liczby porównywalne. Trzydzieści trupów podawanych przez stronę rosyjską, to szacunki stanowczo zawyżone.

Męstwo nagrodzone

W rocie smoleńskiego pułku w Bodzentynie służył Polak – szeregowiec Zielonko. Był on kompanijnym rzemieślnikiem, który jako żonaty mieszkał poza koszarami. Wraz z rozpoczęciem walk powstańcy zjawili się u Zielonki, chcąc go nakłonić do przyłączenia się do atakujących. Szeregowiec odmówił nie tylko akcesu do powstania, ale nie chciał nawet wyjawiać żadnych informacji pozwalających ułatwić atak. Nie wskazał także ukrytej na poddaszu broni. Napastnicy próbowali zmusić do mówienia opornego żołnierza *otwarto mi więc usta ostrzem żelazem, przyczem poraniono policzki i język*. Poranionego Zielonkę pozostawiono własnemu losowi. Odnaleźli go dopiero rankiem rosyjscy żołnierze, którym na migi wskazał ukrytą broń. Zielonko wyzdrowiał, choć nie odzyskał już nigdy wyraźnej mowy. Jego odwaga została doceniona przez Rosjan. Został mianowany podoficerem i odznaczony żołnierskim krzyżem św. Jerzego. Ponadto cesarz wraz z namiestnikiem obdarowali go niebagatelną sumą tysiąca rubli oraz dożywotnią pensją. Postawa Zielonki została wyeksponowana przez Rosjan, chcących wykazać, że prosty polski żołnierz gotów jest wiernie służyć carowi, a służba ta zawsze będzie sownie nagradzana. Przykład Zielonki wskazuje jednak nie tylko na jego osobistą odwagę, ale także odzwierciedla postawę wielu żołnierzy polskiego pochodzenia służących w zaborczej armii, którzy nie myśleli wstępować do powstańczych szeregów.

Powstańcze dole

Strona powstańcza mimo zdecydowanej przewagi liczebnej nie potrafiła pokonać dobrze zorganizowanego przeciwnika. Nie uzyskano głównego celu, czyli zniszczenia garnizonu i zdobycia broni. Zwycięzcy Rosjanie jednak nie czuli się w miasteczku bezpiecznie, dlatego po zniszczeniu porzuconej przez powstańców broni i podpaleniu miasta, w obawie kolejnego ataku, wycofali się do Kielc, co mimo wszystko stanowiło sukces powstańców, którzy wkrótce stali się, przynajmniej na parę dni panami terenu i zyskali jakże potrzebny czas na organizację powstańczego wojska.

Marian Langiewicz po nieudanej próbie utrzymania Szydłowca, wycofał się w Góry Świętokrzyskie i przystąpił do koncentracji podległych mu oddziałów w trójkącie Suchedniów – Wąchock – Bodzentyn. Ukształtowanie terenu, gęste lasy i względne oddalenie od rosyjskich garnizonów, sprzyjały zorganizowaniu bazy w Wąchocku. Z chwilą założenia obozu, do Bodzentyna wysłał oddział pod dowództwem Bernarda Klimaszewskiego, który wraz z Dawidowiczem stacjonującym w Parszowie i Dionizym Czachowskim w Suchedniowie, mieli osłaniać wąchockie obozowisko, uznawane za kluczowe stanowisko, do prowadzenia dalszych działań w rejonie Łysogór.

Żywot „republiki wąchockiej” okazał się krotkotrwący. W pierwszych dniach lutego, po nieudanych próbach zatrzymania Rosjan, zagrożony okrążeniem Langiewicz, wycofał się przez Bodzentyn do Nowej Słupi, gdzie u podnóża Świętego Krzyża założył obóz. O świcie 11 lutego powstańcy zostali zaatakowani przez nadciągający z Kielc ekspedycyjny oddział Czengierego. Mimo przewagi i zaskoczenia, partyzanci nie zostali rozbici, a Moskale zmuszeni byli się wycofać. Walka pod Łyścem była więc faktycznie pierwszą wygraną Langiewicza, któremu, mimo że dysponował słabo uzbrojonym i wyszkolonym żołnierzem, udało się odeprzeć atak regularnego wojska. Nie chcąc jednak ryzykować następnego starcia z kolejnym nieprzyjacielskim oddziałem, zwinął obozowisko i przemknął się niepostrzeżenie w kierunku Staszowa.

Po wycofaniu się z Łysogór Langiewicza, działania na interesującym nas terenie chwilowo tracą na intensywności. Nie znaczy to, że powstanie zamarło. Raz po raz pojedyncze partie przewijały się przez górzyście i leśne tereny szukając wytchnienia przed tropiącym je pościgiem. Niejednokrotnie do miasteczka spędzano schwytych powstańców. Zwożono też zabitych, których grzebano na tutejszym cmentarzu. Działał tu również szpital, w którym znajdowali opiekę ranni insurgenci.

Ludność Bodzentyna, jak tylko było to możliwe wspomagała powstańców. Dostarczała im żywność i ubrań. Wielu bodzentynian, z bronią w rękę walczyło w powstańczych szeregach. Wielu także zginęło w walce lub zostało zesłanych przez władze carskie na Syberię.

Bitwa pod Jeziorkiem

We wrześniu 1863 r. odbyła się w Krakowie narada wyższych powstańczych dowódców, na którym nowym naczelnikiem wojskowym województwa sandomierskiego został Józef Hauke – Bosak. Podjęto tam również decyzję o zintensyfikowaniu działań partyzanckich, które na przełomie 1863/1864 objęły okolice Bodzentyna. Bosak po naradzie ruszył w Góry Świętokrzyskie, by przeprowadzić inspekcję powstańczych oddziałów. Przyłączył się wówczas do oddziału Karola Kality – Rębajły, z którym 28 października dotarł na Święty Krzyż. Wobec braku w klasztorze żywności i zagrożenia ze strony Moskali, podjęto decyzję o wymarszu w kierunku położonego u stóp Łysogór Jeziorka. W klasztorze pozostawiono jednak kontuzjowanego Rębajłę. Po nocnym marszu, zgłodniały powstańcy dotarli do wsi i natychmiast rozbiegli się w poszukiwaniu żywności. Tymczasem Rosjanie pod dowództwem Czengierego, zrezygnowawszy z wchodzenia na Św. Krzyż ciągnęli wprost na partyzantów. Czengierey dwoma szwadronami dragonów związał polskie siły i podciągał piechotę i artylerię. Siły nie były równe. Oddział Bosaka liczył 300 powstańców (180 strzelców Rębajły i 120 jeźdźców Mieczysława Szamejta). Przeciwnik dysponował, oprócz dragonów, sotnią kozaków, 8 kompaniami piechoty i 2 działami.

Pewni siebie dragoni śmiało zaatakowali polską piechotę. Do akcji wkroczyła wówczas powstańcza jazda, która śmiałą szarżą odrzuciła dragonów. Jednakże okrążający manewr kozaków i śmierć dowódcy powstańczej jazdy majora Mieczysława Szamejta, wywołała zamęt w polskich szeregach. Wraz z nadejściem rosyjskiej piechoty, partyzanci cofnęli się do wioski, skąd dali skuteczny odpór nacierającym. Jednakże od strony Bodzentyna ukazała się kolumna wojska. Powstańcy mieli nadzieję, iż nadchodzi pomoc z głównego polskiego obozu w Kunowie, gdzie stacjonował ze swym oddziałem płk Zygmunt Chmieleński. Niestety zamiast Polaków ukazali się Rosjanie. Jedyna droga odwrotu biegła przez otwarty teren, co nie dawało większych szans ujęcia z pogromu. Polscy piechurzy jednak wycofywali się w należyтым porządku, gęsto się ostrzeliwując i nie pozwalając zbliżyć się Rosjanom. Twarda postawa piechoty umożliwiła przebicie się Bosaka z częścią jazdy do pobliskiego lasu. Polscy strzelcy cofali się tymczasem w kierunku rzeki Pokrzywianki, której

stromie brzegi uniemożliwiły dalszy odwrót, zmuszając Polaków do kapitulacji. Wynik starcia był niekorzystny dla Polaków. Powstańcy stracili 20 zabitych, 17 rannych i 50 wziętych do niewoli. Bosak zebrawszy resztę oddziału ruszył do Kunowa.

Powstańcza defilada

Po porażce pod Jeziorkiem Hauke-Bosak nie załamał się, ale energicznie przystąpił do wzmacniania siły powstańczej. Aby dać wyraz swej siły, a zarazem pokrzepić wąpiących w sens dalszej walki, zdecydował się na koncentrację powstańczego wojska w Bodzentynie. Do miasteczka zaczęły ścigać powstańcze dywizje: sandomierska w sile 450 jazdy i 1120 piechoty oraz krakowska z 900 jeźdźcami i 2400 piechurami. Łącznie zebrano 4870 powstańczych żołnierzy, tworzących bardzo pokazną siłę, a nie były to wszystkie polskie oddziały działające na terenie woj. sandomierskiego.

22 stycznia 1864 roku, a więc w rocznicę wybuchu powstania, odbyła się wielka rewia wojskowa, połączona z defiladą polskich jednostek. Przed oczami licznie zgromadzonej publiczności predefilowało 8 batalionów piechoty i 6 szwadronów jazdy. Po defiladzie Bosak wydał ucztę dla zaproszonych gości, mającej wykazać jedność i solidarność polskiego społeczeństwa. Byli na niej przedstawiciele wszystkich stanów: chłopci, mieszczenie, szlachta i Żydzi, księża i rabini.

Po wielkiej manifestacji powstańcy wycofali się. Miesiąc później polskie siły uległy jednak rozkładowi po nieudanym ataku na Opatów.

Vae victis?

Liczne walki w górzystym i lesistym, a więc łatwym do obrony terenie, zasadzki i ucieczki były możliwe jedynie dzięki zaangażowaniu miejscowej ludności, która służyła kwaterami, żywnością i wszelkimi dobrami materialnymi. Stąd też pochodzili żołnierze służyący w partyzanckich szeregach. Patriotyczna postawa ludności po wschodniej stronie Łysogór, kontrastowała z wyraźną wrogością chłopów wobec powstania na terenie trójkąta: Kielce – Jędrzejów – Włoszczowa, gdzie włościanie współpracowali i ściśle wykonywali polecenia władz zaborczych. Postawa ta najwidoczniej uwidoczniła się po bitwie pod Małogoszczem, kiedy to chłopci dostarczali Rosjanom rannych powstańców.

Na taką postawę miała wpływ z pewnością niedostateczna agitacja prowadzona przez władze powstańcze. Tam gdzie jej nie zabrakło nastroje były zgoła inne. O jej skuteczności może zaś świadczyć zaangażowanie ludności w okolicach Bodzentyna i Suchedniowa. Nie bez znaczenia było to, że ten obszar należał do dóbr górniczych, gdzie oczyszczanie wprowadzono już kilkanaście lat wcześniej. Uwolniony z pańszczyzny i okrzepł finansowo chłop z dóbr państwowych, był bardziej zainteresowany sprawami narodowymi, niż pańszczyźniany zamieszkujący majątki prywatne. Na rozwój postawy narodowej miały wpływ również działające tutaj zakłady przemysłowe, które prócz zarobku, pozwalały prowadzić robotę agitacyjną.

Za okazywane powstańcom poparcie miejscowa ludność jednak zapłaciła zniszczeniami materialnymi, spalonymi miastami, kontrybucjami i zwykłymi rabunkami, będącymi udziałem obu walczących stron. Liczne egzekucje, polegli w boju oraz zesłańcy na Sybir uzupełniały tylko ponury obraz, który pozostał po powstaniu styczniowym. Pozostał jednak mit i pamięć, o wielkiej historii, która zawitała w te strony.